OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 31 Maja 1865 roku.

Nr 22. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

NEAPOL.

(WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY PO OBCZYZNIE).

(*Dalszy ciąg.—Obacz Nr. 21*).

Czego jednakże niedostaje Neapolowi? Powiedziałbym—wyrazu. Wyobraźmy sobie gmach jakiś, naprzykład Panteon, w którym pomieszano różne porządki i style, któryby w strukturze swojéj miał zarazem coś starogreckiego, bizantyńskiego, maurytańskiego i gotyckiego. Taka mięszanina może być piękną; dowcipny budowniczy, może tak części zestawić i jednę z drugą złączyć, że całość zaimponuje widzom, ale nie będzie miała wyrazu. Owóż tego wyrazu, tego czegoś, nie dostaje Neapolowi.

Jeszcze jedno. Ażeby piękność oczarowała, potrzeba koniecznie, ażeby pomiędzy nią a widzem, zachodziła jakaś sympatyczna spólność; potrzeba, ażeby ona miała duszę a widz serce, a téj duszy i tego serca promienie, ażeby w pewnéj odległości się złączyły i sformowały pewien rodzaj elektrycznego światła, któreby przedmiot oblało i uwydatniło. Przy pomocy takiego światła, przedmioty nadzwyczaj wiele zyskują. Nawet brzydkie wydają się pięknemi.



Święty Edward.—(str. 170, szp. 2).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Krzyżanowski).

Pomiędzy mięszaniną Neapolitańską a mną, nie uformowało się to światło. Przedmiot był dla mnie bez duszy; ja dla niego bez serca. Z zimną krwią, przypatrywałem się gmachom rozmaitéj struktury, występującym przed mojemi oczami, jak karty z przetasowanéj talji—nadstawiając ucha Węgrowi, który stojąc obok mnie, pokazywał palcem, i co chwila mówił:

— To pałac *Capo di Monte*... To *Reclusorio*... To, ot tam, za tym załomem, pół widna facjata teatru *Santo-Carlo*... To i t. d. i t. d.

Rozpatrywałem się, rozglądałem, zwracałem binokle to tu, to tam, to owdzie, a to z takim akcentem, z jakim jeometra obraca cyrkiel i liniję. Przypominałem sobie owego turystę, i dziękowałem zrządzeniu losu, który mnie i jego razem do Neapolitańskiego portu nie sprowadził. Byłby na mnie skoczył, schwycił za gardło i krzyknął:

— Świętokradzco!.

Węgier okazał się pobłażliwym. Na moje krytyczne uwagi, tyczące się różnych szczegółów Neapolitańskiéj całości, zwykle odpowiadał:

— Nic szczególnego... Widziałem piękniejsze...

— Gdzie?..—zapytałem.

— Ho!.. gdzie?.. Byłeś pan w Węgierskiéj krainie?..

— Nie...

— No, to ja panu mówię, żeś pan nic nie widział.. Ja panu mówię, że Koszyce od Neapolu piękniejsze... Trzeba Koszyce widzieć!..

Na niewidziane przyznałem mu słuszność. Koszyce dla niego musiały być piękniejsze, bo zapewne były rodzinnem jego miastem.

— Widzisz pan tam na prawo te dwie góry, wyglądające jak grzbiet wielbłąda o podwójnym garbie; jedna z nich, bliższa nas, to Wezuwiusz...

Wlepiłem wzrok w Wezuwiusza, którego wierzchołek, dłużéj niż inne szczyty, owinięty był turbanem chmur. Węgier prawił daléj:

— Ale i tam nie ma co widzieć... Czasami kurzy się mu z czupryny, jak pijakowi na mrozie... Teraz jednakże się nie kurzy.... W Węgierskiéj krainie, jest daleko więcéj do widzenia... Wysiądziesz pan na ląd?....

— Wysiądę... radbym widzieć Neapol...

— Wysiądziemy razem. . . . Znam Neapol jak własne kieszenie... Oprowadzę pana...

— Jeżeli znasz go jak mnie—pomyślałem sobie—to dobrego będę miał przewodnika.

Pokazało się jednakże, że ta znajomość była, jeźli nie zupełną, to daleko lepszą a przynajmniéj prawdziwszą od téj, która się rzeczywiście pomiędzy nami rozpoczęła. Węgier snadź nie po raz pierwszy, w te okolice zaglądał. Nie chciał jednakże funkcję przewodnika rozpoczynać przed śniadaniem.

— Możemy zjeść w mieście...— powiedziałem.

Machnął ręką z oznaką pogardy i rzekł:

— Na statku tę mam przynajmniéj pewność, że nie potraktują mnie kotem, ani szczurami: a tam...

I zaklął po węgiersku.

Przyznam się, że i ja nie miałem pociągu do pieczystego z kota, ani do potrawki ze szczurów. Zdecydowałem się więc pozostać, życząc dobrego apetytu Angielkom i Anglikom, temu ptastwu parami i gromadkami w południowe z wiosną ciągnącemu strony, którego spory transport, przywiózł nasz parowiec z Genui do Neapolu. Tem więcéj miałem czasu do nasycenia się widokiem miasta i obejrzenia Wezuwiusza.

Wezuwiusz przedstawia się w kształcie ściętego u góry stożka, dominującego nad wszystkiemi szczytami. U spodu, otacza go do koła szlarka domków i ogrodów, która nieregularnemi ząbkami pnie się na jego boki do góry, i w kilku miejscach, w rodzaju strzępków lub żył, wybiega aż do połowy i wyżéj pochyłości. Odznacza ją zieloność, odmienna od téj, która boki góry pod szczytem okrywa. Jestto zieloność winnic i oliwnych gajów, pomarańczowych i cytrynowych ogrodów. Bawi ona oko rozmaitością, podobną do mozajki ułożonéj z odcieni jednego i tego samego koloru, a poprzetykanéj willami, wyglądającemi na jéj tle jakoś jasno i uśmiechnięto.

Kultura obsiadła Wezuwiusz do koła. Że też ludziom nie przychodzi na myśl, na jakim oni sadowią się gruncie?.. Że też nie odstręcza ich myśl wciąż pracującéj i co chwila gotowéj wybuchnąć miny wulkanu, na którym rozrzuciły się te wille, te ogrody, te uprawne pola... Powiadają, że gdyby wybuch miał nastąpić, ludzie mieliby czas uratować się. Zapewne na podstawie takiego opowiadania, zamieszkiwała niegdyś ludność w Herkulanum i Pompei. Przykład nie nauczył. Tak zwykle z ludźmi się dzieje. Co do mnie, dwa razy bym pomyślał, zanim bym się odważył zamieszkać w jednym z tych pięknych ozielenionych i ocienionych domków, tak effektownie zdaleka wyglądających. Żyć z myślą, że lada moment można wylecieć w powietrze lub utopić się w gorącéj łaźni—dziękuję!......

Do widzenia miasta, a raczéj, do zajrzenia do jego wnętrza, miałem czasu aż nadto. Rozumie się, że o studjowaniu zakładów i zbiorów nie można było ani myśleć, a tylko o spojrzeniu na fizjognomją Neapolu ze strony, że tak się wyrażę, odwrotnéj. Strona ta bywa zazwyczaj wcale niepowabną, i dla tego wcale nie spieszyłem z przeniesieniem się z pokładu statku na ląd stały, a przeniosłszy się myślą do dawniejszych doświadczeń, miałem sposobność dodać nowe, brzmiące jak następuje: „nie dotykaj się do piękności palcem, jeżeli chcesz, ażeby jéj urok nie uleciał.”

Neapol ogromnie traci na przypatrzeniu się mu z bliska, na rozczłonkowaniu, że tak powiem jego zbiorów. Place ma bardzo małe, wyjąwszy jednego; ulice wązkie, wyjąwszy Toledańskiéj. Piękność przeto pojedyńczych gmachów nie ma gdzie się wykazać, ginie jak obrazy w niewłaściwem umieszczone świetle. Brak światła, brak powietrza, jakaś duszność spada na piersi, umęczone nieustannem wznoszeniem się i zniżaniem gruntu. Przechodząc po ulicach, wciąż trzeba wchodzić na górę lub schodzić na dół. Po dwóch godzinach chodzenia, byłem tak zmęczony i zadyszany, że potrzebowałem spocząć.

Spytacie może: dla czego, wiedząc z góry o rozczarowaniu, jakie nastąpić miało, chodziłem po Neapolu?— Miałem do tego bardzo ważny powód—szukałem lazzaronów, chciałem żywemi—własnemi oczami oglądać, ten pierwowzór proletarjatu.

(Dokończenie nastąpi).

ŚWIĘTY EDWARD

(KRÓL ANGIELSKI).

I.

W drogiéj purpurze, w złotéj koronie,
Edward na Anglji zasiadał tronie;
A u stóp tronu liczni dworzanie,
W kornéj postawie mówili: Panie!
Gdy kto z nich podniósł oczy do góry,
Jasność obaczył—z razu zdumiony
Pomyślał sobie: to od purpury,
To od złocistéj odblask korony...
Bo jeszcze w Boskiéj nie było woli,
Dać ludziom poznać blask aureoli!

II.

Od bram zamkowych słychać wołania,
Jedne błagalne, jak głosy prośby,
I płacz stłumiony—drugie jak groźby,
Straż widać wejścia komuś zabrania;
Król słyszy hałas—zawsze przystępny,
Każe otworzyć: „Na Boskie rany!
Królu, rzekł dworzan—może to pijany,
Może zbieg jaki albo występny,
Może rozbójnik albo banita?...”
Król wstaje z tronu—daléj nie pyta,
Sam na krużganek zamku wychodzi,
Dworzanie szepczą: „To się nie godzi,
Tak poniewierać i nas i siebie,
Takaż to służby naszéj zapłata!...”
Nie wiedzą oni, (co wiedzą w niebie),
Że to królestwo nie z tego świata!

III.

O wyschłych nogach i na kolanach,
Wlecze się żebrak—ciało ma w ranach,
Łachmany na nim wiszą—straż harda,
Nim króla zoczy, nędzy urąga,
A żebrak woła—ręce wyciąga:
„Z Rzymu do króla idę Edwarda!”
Król rzekł łaskawie: „Przyrzekam tobie,
Moją opiekę”—„Królu! to mało,
Ja byłem w Rzymie na Piotra grobie,
I tam słyszałem (wielu słyszało,
Co mi Apostoł tam przyrzekł święty),
Że na twych królu barkach podjęty,
Odzyskam zdrowie—gdy w kościół Boży,
Mnie ręka twoja, przed ołtarz złoży!”

IV.

— Słysząc te słowa dwór się oburzy,
Nie czeka aż się prośba powtórzy:
—„Precz ztąd!” zawoła—Ale w téj chwili,
Król do żebraka już się nachyli,

Na swe królewskie bierze ramiona,
Jak krzyż Chrystusa na siebie zwiesza,
Idzie... dwór za nim, za dworem rzesza,
A twarz królewska lśni rozjaśniona,
Bo nad widzialną koroną, kołem,
Druga korona błyska nad czołem...
Ale idący tego nie widzą,
Tylko łachmany i wyschłe nogi,
Szkarłat splamiony.—Gdy jedni szydzą,
Kobiety ze czcią upadły twarzą,
Śmielszy zabrania królowi drogi,
Starcy przed domem zdumieni gwarzą,
Dzieci na przodzie krzyczą i skaczą,
Patrzcie! ach patrzcie! stają, obaczą,
Aż ów bezsilny już ciałem włada,
Patrzcie—Królowi do nóg upada,
Cud! cud! Król zdziwion staje śród ludu,
Gotów zapytać o powód cudu?!
Tłum cały jedną duszą przejęty,
Patrząc w twarz króla, widzi na czole,
Widną dla wszystkich już aureolę...
Wszyscy—lud wierny i dwór zawzięty,
Woła w zachwycie na króla: Święty!

. . . .

A król? Król podniósł swe oczy w górę,
On dziś pokochał swoją purpurę!
Krew, łzy żebraka płynąc na szaty,
W brylanty zdobią jego szkarłaty,
Płaszcz mu w niebieskie utkały kwiaty,
Suknię w cudowne ubrały wzory;
Wzorze miłości ucz nas pokory!

. . . . . . Jednego czasu przyszedł jeden chromy, który obiedwie nogi za sobą włóczył, powiadając, iż był u grobu Świętego Piotra, chcąc zdrowie uprosić, a Piotr Święty w widzeniu rzec miał: „Idź do króla Edwarda, niechaj cię swemi rękami na swoich ramionach do kościoła niesie, a zdrów będziesz!” Poszedł król do chromego i porwał go na ramiona swe królewskie. Wisiał na królu plugawy obszarpaniec, śmiało się z tego wielu i prostocie królewskiéj urągali, lecz on z posłuszeństwa swego i pokory wielką cześć odniósł, bo wnet one skurczone żyły, gdy był niesiony, rozchodzić się, a krew i materję szkodliwą na szatę królewską wypuszczać i czyścić się poczęły. A król tę krew i one zmazanie za okrasę sobie poczytując, niósł gdzie mu kazano. Wstał zdrów chromy jak nowo-narodzony, sławiąc moc Bożą, którą nad nim pokazał przez swoich świętych.

(Skarga—Żywot Ś-go Edwarda w r. 1200 po Nar. Chrystusa).

CHATKA POD LASEM.

Była wioska w dolinie, wioska taka nadobna, że jeno malować, a powiesić na ścianie, na uciechę ludzkiemu oku; nad krętą rzeczką, zarosłą po brzegach wikliną, zieleniły się sady, wyglądały wieśniacze chaty; wśród wioski, dworskie topole wystrzelały długą ulicą w górę; przez topole, widno na wzgórku czerwony dach kościoła z krzyżem, na którym teraz, iskrzą się złote promyki zachodzącego słońca, a nad tem wszystkiem niebo jasne, ciche, pogodne. O czemuż wśród tego łagodnego krajobrazu, szarzeją łachmany nędzy człowieczéj; czemuż pod nakryciem pogodnego nieba, nie wszystkim ludziom pogodnie, wesoło?

O! patrzcie, tam na lewo za wsią, pod lasem, widzicie tę starą na wpół zwaloną chatkę, co wygląda jak żebrak pod płotem? Stara, zczerniała, słomiana strzecha, porosła zielem; ściany nierówno załamane, glina z nich obleciała, odkrywając łaty zbutwiałe, okienka małe, starannie złożone z połamanych kawałków szkła, uzbieranego gdzieś na śmiecisku dworskiem; drzwi o jednéj zawiasie, opadły na ziemię i wciąż otwarte, stoją więcéj dla zwyczaju, jak dla wygody właściciela; przed chatą tuż pod oknami, trochę gnoju w bagnistym dole. Piękna chata nie prawda? Malarze i poeci, szukają takich widoków i mówią: to piękne, a mnie nad taką pięknością łzy się cisną do oczów, i nie mogę dopatrzyć się piękności tam, gdzie jest nędza i boleść ludzka. I jeżeli stawiam przed wami tę malowaną chatę, to nie żeby was bawić, i do snu kołysać, ale żeby wam przed oczami potrząsnąć tym łachmanem nędzy, i rzucić na piersi jak kamień z wyrzutem, że tyle nędzy i niedostatku obok bogactwa i wygód, tyle westchnień ubogich, obok sapania najedzonych wygodnisiów.

Wejdźmy do chaty, — w sionce pustki; w dużéj izbie na prawo ciemno, czarno prawie od dymu; przez okienko słabe światło pada w głąb' izby i oświeca tapczan, zarzucony zmierzwioną słomą i potarganą płachtą; na przeciw okna skrzynka, nad nią jakiś święty obraz, tak się przynajmniéj domyślać trzeba, za obrazem palmowa gałązka, uschnięta wiązka ziela, na kominie trochę popiołu zgarniętego w kupkę koło dwóch garnków, i ot wszystko, co w izbie było. Może tu i owdzie na ziemi leżał jeszcze sprzęt jaki, ale rozpoznać trudno, taka ćma w chałupie, bo i okienko mało światła przepuszcza, i drzewo przed chatą duży cień rzuca. I w téj brudnéj, stęchłéj ciemnicy, mieszkają ludzie, i w milczeniu znoszą nędzę, o jakiéj wy ledwie z powieści wiecie, i o świcie wstają do pracy z pacierzem, i z pacierzem kładą się do snu, ocierając pot z uznojonéj twarzy.

Teraz izba pusta, nie ma właścicieli, i w oborze za komorą pusto, a powrózek wisi u żłoba. Stara Magda, w leśie pasie krowę nędzną, kościstą, jedyny jéj majątek, a córka Wiktusia na robocie we dworze.

Słonko za las się skryło, Magda wróciła z lasu, z brzemiączkiem uskubanéj trawy na plecach, popędzając krowę do obórki. Wydoiła ją potem i poszła do izby, rozdmuchała ogień w popiele, nasypała krup do garnka, w drugim garnku była grubo siekana kapusta. Tak przyrządziwszy wszystko, wyszła na próg chaty, wyglądając swéj córki, bo Wiktusia to oczko matczyne, to jéj jedyna pociecha i pomoc. Od rana do nocy pracuje ciężko, i ani się poskarży, a co grosz zarobi, to wszystko matce oddaje, i nie pozwoli sobie ani wstążki do włosów, ani koralików na szyję, ani nowéj zapaski. Przyjdzie niedziela, w karczmie muzyka, tańczą, że się ledwie karczma nie zawali; Magda głaszcze córkę po twarzy i mówi: Wiktusiu idź, zabaw się — a Wiktusia: niech się ta bogacze bawią, na biedną i parobek nie spojrzy, i do ranka pod piecem przestoi; mnie tu lepiéj z wami matusiu. To i jak tu takiéj dziewki nie kochać, nie piescić matce? Ona komorne opłaci, ona na wiosnę krówkę kupiła, i przy jéj pracy i oszczędności przyszłyby do majątku i miałyby już jakie kilkanaście złp. w węzełku, ale we żniwa Magda się rozniemogła i leki kosztowały, więc się grosze rozeszły.

Matka siedzi i różaniec w rękach przebiera; wtem usłyszała piosneczkę Wiktusi, co z motyką na ramieniu szła do domu ścieszką po łące. Nie była to dziewczyna, o jakich nieraz naczytaliście się w książkach, że smukła jak topola, ładna jak róża, a oczy ma jak krynica. A po co mnie kłamać, Wikta była nieduża, tęga dziewczyna; twarz okrągła, mocno opalona, równie jak jéj ręce; nos wcale niepiękny, wargi duże, jednem słowem, wcale nie ładna dziewczyna, ale gdyby to można zajrzeć w głąb' dziewiczéj duszy, zobaczyć ten spokój, jaki daje czyste sumienie i uczciwa praca, to Wiktusia by wam się bar-

dzo, bardzo ładną wydała, u niéj w duszy pacierze, matka, praca i cnota — i to wszystko przeglądało z niéj przez oczy, co miały tak miłe wejrzenie, że połóż ten wzrok na najgorszéj ranie, a wydobrzeć musi.

Idzie dziewczyna i śpiewa sobie, bo śpiewka to pociecha i ulga, a gdy zobaczyła matkę, pobiegła żywiéj ku chacie.

— Witajcie matusiu, coście się tak zaturbowali?

— Ha, człek myśli, to się ta i nie jedno przez głowę przewinie. Myślałam, co my z naszą wiśniochą bez zimę zrobiemy.

— Nie turbujcie się matusiu, z pomocą Boską ją wyżywiemy, a teraz macie.

I wysypała jéj na podołek, sporo groszaków z zapaski.

— To na moje wesele matusiu, rzekła śmiejąc się, kupicie mi do ślubu chustkę, taką jaką ma Kaśka Pawłowa, żeby się Walek nie wstydził za mnie w kościele. To rzekłszy wpadła do chaty, wzięła wiadro i poszła do rzeki po wodę, a była dziś dziwnie czegoś wesoła, i piosenka po piosence na myśl jéj przychodziła, a wszystko o weselu, o wianku, o kalinie, bo wesele dla dziewczyny, to nie lada święto w życiu; i najbiedniejszemu człowiekowi taka chwila, to tak jak okienko w ciemnicy, przez które człek nieba dopatrzyć może. Ona biedna, Walek cieśla także biedny, i te dwie nędze do kupy, czyż to nie ironja wesela? I wam dziwno, że tacy ludzie w biedzie i pracy o miłości myśleć chcą i mogą. Ha, cóż robić, to już nie ich wina, tylko pana Boga, co i nędzarzowi daje serce.



Starą na wpół zwaloną chatkę...—(str. 171, szp. 1).—(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Gorazdowski).

Gdy wróciła do chaty, matka już nagotowała wieczerzę, wyłożyła na miskę i postawiła na progu chaty. Siadły obie i jedząc gwarzyły. Zaniedługo, przyszedł ku nim chłop nizki, krępy, pogodnéj sławiańskiéj twarzy, w lichéj płóciennéj siermiędze, z siekierą, na któréj trzymał wbity klocek drzewa.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki, witajcie.

— Siadaj Walku—rzekła dziewczyna uradowana jego przyjściem; prosiwa.

— Jedzcie z panem Jezusem.

— A zkąd Bóg prowadzi?

— Z roboty z leśniczówki, pobijaliśwa dach.

Zrzucił kloc i siekierę na ziemię, siadł i widocznie czemś zaturbowany drapać się począł po głowie.

— A co to ci Walku? spytała go dziewczyna—jakoś markotny?

— Ba i jakże nie mam być markotny, Stach obiecywał i obiecywał zagrać na wesele, skoro teraz coś wydziwia, że ma grać w Jaworzynce.

— Masz się i o co turbować, rzekła matka, albośmy to bogacze, żeby muzyki sprowadzać, zejdą się a czemże poczęstujesz?

— Dyć ja to wiem, alem se myślał, nie ma kołacza, ani mięsa, to niechże choć wódka i muzyka będzie.

— Mój Walku, rzekła Wikta z dziwną słodyczą i godnością, nie na muzyce stoi wesele, ale na tem, co ksiądz w kościele pobłogosławi. Ja ta nie koniecznie za muzyką—ot sprosiwa kilku gospodarzy ze wsi, i będzie.

Walek medytował jaszcze troszkę, i w końcu rzekł.

— Ha, to niech się ta i obejdzie bez muzyki. Chodźwa Wikta do wsi, na spraszanie. Wikta poszła do izby, otworzyła skrzynkę, ogarnęła się nieco, i poszli z Walkiem do wsi.

Już księżyc dobrze był w górze; kiedy Wikta wróciła do chaty, matka już spała. Wikta weszła cicho by nie budzić matki, ale spazmatyczne łkanie, które chciała w piersiach zatrzymać a nie mogła, obudziło staruszkę.

— Co tobie Wiktuś?

Dziewczyna teraz na dobre się rozpłakała, siadła przy matce i narzekała: oj biednaż ja biedna.

— Cóż się stało? zmiłuj się gadaj, — jakież nieszczęście...

—Oj biedne my, biedne, mówiła dziewczyna z coraz większym płaczem, i rzuciła się na kolana matce.

—Czy Walek czego broń Boże?...

—I on biedny z nami. Słuchajcie matuś, byliśmy u Pawłowéj, u Mazura, u Kasprzyka i Lutego; żadne z nich nie chce przyjść na wesele, wszyscy wymawiali się jak mogli, a gdy Walek koniecznie nalegał na Kasprzyka, ten odwrócił się i bąknął, że taki kmieć jak on, po żebrackich weselach nie chodzi.

— Mój ty Boże, ta to krewny przecie.

— I dziewki uciekały odemnie, i parobcy śmieli się z Walka, że wesele bez muzyki będzie, oj biedni my, biedni, a zkądże tu wziąść, kiedy ledwie na księdza wystarczy.

Matka podniosła się z tapczana, założyła ręce i smutnie głową kiwała, i żal jéj było dziecka, i gorzkie jéj było urągowisko ludzkie z biedy. Bo bieda stokroć byłaby znośniejszą, gdyby ją nie powiększała pogarda ludzka. Biedne niewiasty bolały strasznie; teraz dopiero uczuły cały ciężar niedostatku, gdy widziały, jak on odstrasza od nich ludzi. Wszak nie szły prosić o łaskę, o jałmużnę, ale szły prosić ludzi by się chwilkę zabawili z nimi, chciały się podzielić z nimi swojem weselem, swojem szczęściem, a ludziom i na taką łaskę zdobyć się trudno. I płakała Wikta, że się nieznalazła we wsi dziewczyna, coby jéj włosy rozplotła i ruciany wianek włożyła na głowę, coby z nią razem poszła pomodlić się do kościoła o szczęście. Biedna!

— I cóż Walek? pytała po chwili matka.

— A cóż, strasznie się zafrasował, ale kiedy wi-

dział że płaczę, to mi rzekł: nie smuć się Wikta, ja jutro pójdę do miasta, mam tam rodzinę, to może nie odmówią, a i poratują trochę.

Tem się uspokoiły, i po łzach i strapieniach zasnęły mocno. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

(*Ciąg dalszy.*—Ob. Nr. 21).

„W szczupłem mieszkaniu macochy, ktorą próżniactwo moje bynajmniéj nie obchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabinie wchodziłem, gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć, pisać lub czytać gramatykę. Tam między innemi rzeczami, postrzegłem wór papierów po ojcu moim zebranych. Między listami, rejestrami, było wiele drukowanych na arkuszach i pół arkuszach mów sejmu czteroletniego, wierszy najwięcéj na imieniny różnych panów lub króla Stanisława, jak to bywało zwyczajem, iż podobne rzeczy osobno drukowane, po wszystkich się domach rozchodziły prędzéj niż gazety i książki. Z chciwością wielką odłączałem te skarby mojéj lektury od papierów na nic nieprzydatnych, a biorąc po zwitku w pole, czytałem głośno, to mowy, to wiersze. Wiersze sprawiały mi rozkosz, jeżeli w nich jakie porównania, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo: powinszowań Naruszewicza, ks. Żukowskiego, lecz były i niektóre Trembeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższe zdawały i w pamięci utkwiły. Te jednak wiersze, lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestosowne, obudziły we mnie chęć pisania, a przynajmniéj naprowadziły mnie na poznanie zewnętrznego składu wiersza. Póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole i ukryty w gęstwinach układałem w rymy, co mi do głowy przyszło, jak pisklę w gnieździe, które instynktem danym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje... Najczęściéj śpiewałem nuty od wieśniaków słyszane, a sama melodja naprowadzała mnie na wyrazy. Były to wyrazy tęsknoty za matką, któréj nie znałem, i więcéj jeszcze piosneczki miłosne, proste naśladowanie dumek od żniwiarek słyszanych. Przecież zbliżyła się wiosna razem z Wielkanocą. Zajmowało mię wielce nabożeństwo wielko-tygodniowe, a przez znajomość z organistą, należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mię szczególnie śpiewane przez niego psalmy przy grobie Chrystusa. Śpiewałem je z nim samym późniéj kolejno, nazajutrz całe rano i popołudniu sam nie ustawałem śpiewać, a organista z ochotą dał się wyręczyć. Nigdy nie zapomnę uroku, jaki na mnie wtenczas sprawiły tak śpiewane pieśni Dawida! Po skończonéj uroczystości Wielkanocnéj, potrafiłem uprosić u organisty książkę, któréj używał, czytałem i śpiewałem w polu, uchodząc najdaléj, żeby mię ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą gramatyką łacińską i czułem słodycz tego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poetyczne ale i religijne, a od smutku i tęsknoty do błogiéj wesołości i nadziei mych marzeń przeszedłem. W tym właśnie czasie odebrałem list od brata Andrzeja, który z uniwersytetu lwowskiego przybył do stryja, mającego znaczne probostwo w Wojniczu, o cztery mile od Rajbrodu. Co to była za radość moja czytać list cały o poezji, któréj się brat mój z największym zapałem ciągle oddawał, i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów Tomasza à Kempis, a nawet całéj trajedji przez niego napisanéj pod tytułem: „Ludgarda.” Posłałem mu nawzajem moje ramoty, odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości braterskiéj i poezji. Już i psalmy i płynąca z nich osłoda nie były mi wystarczające. Nie sypiałem z tęsknoty do brata, do jego książek.”



Zrzucił kloc i siekierę na ziemię, siadł...—(str.172, szp. 1).—Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Gorazdowski).

Wprawdzie Wojnicz od Rajbrodu przedzielają tylko cztery mile, ale dla chłopca niemającego grosza przy duszy, uwijającego się po polach w resztkach dodzierających się sukien i w dziurawych butach, nieznającego świata—ludzi, przestrzeń ta była prawie nie do przebycia. Jednak czegóż nie dokaże gorąca chęć i silne postanowienie. Dzięki surdutowi przerobionemu gdzieś na wsi, ze starego surduta liberyjnego znalezionego pod strychem, i księdzu wikaremu z Lipnicy, który dostarczył konia i przewodnika, Kazimierz stanął w wojnickiem Eldorado, do którego tak wzdychał. Ksiądz stryj, którego już i tak bardzo liczna obsiadła była rodzina, z razu kwaśno nawet szorstko przyjął nowego przybysza, ale wkrótce udobruchał się, pomyślawszy, że przy tylu innych, niewiele on mu doda kłopotu. Znalazłszy się w gronie braci i siostr, rodzonych i stryjecznych, otoczony miłością i poezją, któréj z zamiłowaniem oddawała się cała rodzina, nie wyłączając księdza proboszcza, Kazimierz poraz pierwszy w życiu pełną odetchnął piersią. Wszystko czego pragnął, miał teraz około siebie: obfitość książek, mianowicie poetycznych i dużo serc kochających. Szybko też upływał czas w Wojniczu na wspólnem czytaniu poezji, mianowicie sielanek Gessnera i na pisaniu wierszy, po większéj części naturalnie w Gessnerowskim guście. Perjod ten życia odbił się też i na późniejszych utworach Kazimierza, cechując je w znacznéj części skłonnością ku idylli i sentymentalizmem poczerpniętym z niemieckiego sielankarza.

Idylla Wojnicka, za nadto wielkiem była szczęściem dla Kazimierza, ażeby miała trwać długo. Niebawem jakoś grono rodzinne poczęło się zmniejszać, rozjeżdżając się w różne strony, to bliższe, to dalsze, a w końcu nawet i brat Kazimierza Andrzej opuścił plebanję, dostawszy miejsce sekretarza przy staroście Dębskim. Kazimierz pozostał jeszcze jakiś czas

u stryja, widując się choć czasem ze swojemi ukochanemi, a w ich nieobecności, pocieszając się choć książką; ale gdy niedługo potem okazał się jakiś fundusik zebrany z pozostałości po ojcu, Andrzej pojechał znów do Krakowa, a Kazimierz wrócił do szkół tarnowskich. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

WIOSENNI GOŚCIE.

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 20).

W wypogodzonéj wyżynie obłoków, ciągną *żurawie* w trójkątnym szeregu. Zaledwo ich dojrzeć można, tak wysoko się wzniosły; tylko swojem donioslem *gru-gru*, tak miłem i tak znanem mieszkańcom wioski, obwieszczają powrót swój; ten to głos charakterystyczny zjednał im odwieczną łacińską nazwę *grus*. Wkrótce założą osadę na tych obszernych żurawinowych błotach leśnych, i nieraz w porankach wiosny, wyprawiać na nich będą, swe tańce i gwarne biesiady.

Po nad tą leśną łąką, widać już latające jaskółki; tam tylko w téj wczesnéj porze, najłatwiéj znajdą owady, któremi wyłącznie się karmią, a dopiero za dni kilka, założą stałe siedziby w przyległéj wiosce. Powita je z radością wieśniak, bo w nich widzi opiekuńcze duchy swojéj siedziby, przynoszące szczęście jego zagrodzie; dla tego chętnie udziela im przytułku pod strzechą swojego domku. Gościnność taka dla tych miłych ptasząt, spowodowana bywa równie bojaźnią przesądną, jakiejś tajemniczéj władzy, którą jaskółki mają być obdarzone, a przez którą zrządzić niby mogą wiele złego lub dobrego. Lepszemi jednak od jaskółek opiekuńczemi duchami domu, są porządek i ochędóstwo; te zaś wymagają, aby ptastwu temu dozwolono zakładać gniazda w takich tylko miejscach, gdzie bez przeszkody i niedogodności dla ludzi, znajdować się mogą. Kto więc przeszkadza jaskółkom budować gniazda pod strzechą swego domu, dla tego, aby wchodzącym lub wychodzącym nie spadały na głowę śmieci; kto nie dozwala zakładać też gniazda po nad oknami, aby znajdujące się w nich często robactwo i owady, nie załaziły do izby; ten nie tylko grzechu nie popełnia, lecz postępuje roztropnie, i żadnéj za to zemsty jaskółek obawiać się nie powinien. Byłoby jednak okrucieństwem psuć już zbudowane gniazdka, w których są jajka lub pisklęta. Należy nadto mieć baczność, aby w pobliżu pasiek, nie gnieździły się jaskółki; głównym bowiem ich pokarmem są owady, które w bystrym swym locie chwytają, a chociaż tym sposobem wielką ilość szkodliwych stworzeń niszczą, przecież i pszczołom nie przepuszczają, chciwie się za niemi uganiając. Jeżeli jednak z jednéj strony usuwać potrzeba szkody i niedogodności, jakie mogą sprawić jaskółki, to znów wcale niepotrzebną, nieroztropną, a nawet okrutną jest zabawą, próbować na nich biegłości w strzelaniu, jak to czynią niektórzy. Dla okazania swéj zręczności pozbawiać życia niewinne ptaszęta, jest to popełniać występek: zabijanie bowiem jakichkolwiek zwierząt, bez celu i bez potrzeby, jest morderstwem. Komuby ta okrutna myśl przyszła do głowy, niech dla rozpędzenia jéj, wyjdzie w cichy, wiosenny wieczór, przed drzwi swojego mieszkania, i przypatrzy się zabawom jaskółek. O jak wesoło bujają one w powietrzu; to lotem strzały wznoszą się do góry, to znów nagle spadają, to z szybkością błyskawicy w tę lub ową rzucają się stronę; to kołem opisują powierzchnię stawu i kończastemi skrzydełkami, muskają spokojne jego wody; to nakoniec porywają się gromadnie, z głośnem szczebiotaniem i ulatują na kopułę wiejskiego kościołka, żegnając zachodzące słońce, wieczorną swoją piosenką. O taki widok, rozbroić powinien najzawziętszego prześladowcę! Jaskółki powrotem swoim zwiastują wiosnę, mylą się jednak niekiedy w przeczuciu pogody i przylatują wcześniéj, niż stałe ciepło nastąpi. Wówczas powtórnie odlatywać muszą, choć w bliższe zapewnie strony. Doświadczenie przekonało, że kiedy jaskółki wysoko w powietrzu bujają, pogoda stałą bywa; skoro zaś nizko przy ziemi żerują, nastąpią słoty. Nic łatwiejszego, jak wytłómaczyć przyczynę tego: owady, które są głównym pokarmem jaskółek, nie mają tak silnego lotu jak ptaki, a zatem tylko w rzadkiem i lekkiem powietrzu, to jest, podczas suchéj i ciepłéj pogody, podnoszą się wysoko, a im cięższe i wilgotniejsze jest powietrze, tem niżéj się opuszczają, co zmusza jaskółki przy saméj ziemi je łowić. Chwytają one zbobycz swą w locie i nigdy niewidziano jaskółki, żeby jak wróbel np. siedząc na ziemi, łapała owady lub robaczki. W kraju naszym cztery gatunki jaskółek się znajduje: *Dymówka*, z czerwonym podgardlem i wielkim widełkowatym ogonkiem. *Oknówka*, z białem podgardlem i nieco krótszym ogonem. Obie gnieżdżą się obok mieszkań ludzkich. *Brzegówka*, popielata, ma gardziel i brzuszek białe; kopie nory w wysokich brzegach nad wodami i w norach tych się gnieździ. *Grzechotka* nakoniec, czyli *jerzyk*, prawie zupełnie czarna z białem podgardlem; gnieździ się zwykle po miastach, w wysokich wieżach kościołów, koło których gromadnie latając, ciągle świegocze; niekiedy zakłada gniazda w wielkich lasach, na wierzchołkach najwyższych drzew. Lot ma nadzwyczaj prędki, a długi ogon i ukształcenie palców, których ma 4, wszystkie naprzód zwrócone, nie pozwala jéj nigdy siadać na ziemi. W południowéj części gub. Podolskiéj ptaszek ten nie znajduje się; dopiero ku północo-wschodowi, od Berdyczowa, coraz obficiéj się pojawia. Wszystkie jaskółki są ptakami wędrownemi, na zimę odlatują do krajów południowych. Lud nie wierzy jednak w te ich wędrówki, utrzymując, że jaskółki przepędzają zimę w odrętwieniu w wodach, błotach i podziemnych norach. Najznakomitszy naturalista starożytności Arystoteles podaje, że chociaż jaskółki powiększéj części na zimę do ciepłych krajów odlatują, przecież niektóre z nich przepędzają ostrą porę roku w miejscach letniego pobytu, w rozpadlinach skał. Nasz *Rzączyński* w swojéj Historji Naturalnéj przytacza kilkanaście zdarzeń, w których jaskółki zimą w wodach znalezione, ożyć miały. Sławny zoolog *Pallas* w podróży swéj po Rossji mówi także o jaskółce, którą znaleziono odrętwiałą, a potem do życia wróciła; sam jednak nie był naocznym świadkiem tego wypadku. *Spallanzani* nakoniec, znakomity naturalista włoski, przypuszcza, że jaskółki z gatunku *brzegówek*, mogą ulegać zimowemu letargowi. Słowem, prócz powyższych zdań naturalistów, między ludem wszystkich krajów Europy, a nawet w Chinach, trwa mniemanie o zimowym śnie jaskółek. Pomimo to, kto uważnie przypatrzył się jaskółce, ten z góry przyzna niepodobieństwo, aby ptaszek tak delikatny, do podwodnego życia nieusposobiony, mógł przez kilka miesięcy pod wodą przebywać i niezmarznąć wśród tęgich mrozów. Byłby to jedyny, w całéj gromadzie ptaków zadziwiający wyjątek. Mniemanie to mogło na téj chyba powstać zasadzie, że znajdowano niekiedy w nadbrzeżnych norach zmarznięte brzegówki, które dla niewiadomych przyczyn, w jesieni nie odleciały; te jednak już do życia nie wróciły. Być tedy może, że jaskółki stare lub słabe, nie mogące już przedsięwziąść dalekiéj podróży, szczególnym instynktem wiedzione, zgon swój, w wodach lub rozpadlinach skał ukryć starają się. Z tem wszystkiem mieszkańcy krajów południowych, widzą corocznie jaskółki nasze w przelocie do stref gorących; potwierdzają to równie świadectwa wielu podróżujących naturalistów, którzy widzieli to ptastwo z Europy do Afryki wędrujące.

W obec więc takich świadectw trudno przypuszczać, aby jaskółki zimowały w wodzie i zdanie to do przesądów zaliczyć należy. *(Dokończenie nastąpi).*

WSPOMNIENIE STAROMIEJSKIE.

Jak to pięknie mieć lat dwadzieścia i mieszkać na czwartem piętrze Staro-Miejskiéj kamienicy. W moje okienko wychodzące na Wisłę, co rano słońce przychodziło z pierwszym pocałunkiem, jeszcze zarumienione i drżące od brzasku zorzy. Wtedy zlatywały się wróble, zbierać okruszyny chleba, umyślnie im porzucane na przedoknowy daszek z chrzęszczącéj blachy, służący nieraz za arenę walki, wszystkich okolicznych kotów. Niebawem odzywał się też i szpak, poczciwego szewca Antoniego, wołając: „pora pracować! pora pracować!” a tam z dołu odpowiadał mu stuk u gwoździarza i ciężki miech, nad którym męczył się długi i chudy jak tyka Walenty. O szóstéj wstawała moja sąsiadka panna Róża. Jeszcze mam w pamięci jéj piękne oczy i płowe warkocze. W półgodziny później, przychodziła nasza wspólna służąca pani Maciejowa, żona pana Macieja stróża, podobna raczéj do tamburmażora niż do kobiety. I tak powoli, powoli, ożywiał się cały dom Staro-miejski od suteryn zajętych na magle.... aż do mego sąsiada z prawéj strony, pana Symplicjusza. O, z takiemi postaciami, jak pan Symplicjusz nie często się można spotkać w życiu, chyba mieszkając na Starem-Mieście. Czem się trudnił, jakie zajmował stanowisko w świecie, było to dla wszystkich, a nawet i zapewne dla niego nieodgadnioną tajemnicą. Chętnie podejmował się każdego interesu, utrzymując, że zna się na prawie, ale go nigdy nie wykonał, wymawiając się brakiem czasu. Utrzymaniem jego był skromniutki zasiłek od rodziny, gdyż pan Symplicjusz miał także lepsze czasy, a nawet i własny majątek. Z tych chwil błogich, nic mu jednak już niepozostało prócz wspomnień, gastronomicznych gustów i niewielkiego psiny z rassy taksów, zabawiającego nieraz sąsiadów swą zmyślnością i figlami. Fidel był prawdziwem godłem swego nazwiska, bo posuwał wierność aż do zaparcia się własnego apetytu, w którym to przymiocie, wiernie naśladował swego pana. Pan Symplicjusz, mrucząc i rozmawiając ze swoim psem, wstawał dość rano, spiesząc się na rynek Starego-Miasta. Nie miał żadnego interesu, nic on tam nie kupował, ale z całą sumiennością obchodził rynek, przeglądając wszystkie stragany, wszystkie sklepy z wiktuałami. Towarzyszył mu Fidel. Znały pana i psa wszystkie przekupki i przekupnie, bo pan Symplicjusz wchodził z niemi w rozmowę i starannie wypytywał o cenę każdego przedmiotu, lubując się tylko widokiem, jego piękną powierzchownością, odgadując myślą wyborny a ukryty smak. Następnie pan Symplicjusz, szedł do jednéj ze znanych garkuchni na Piwnéj ulicy, i tam czekając spokojnie chwili obiadu, wietrzył każdy zapaszek, wykradający się przez nieszczelnie domknięte drzwi od kuchni. Po spożyciu skromnego obiadku, pan Symplicjusz wybierał się na wielką wyprawę przed sklep lub stragan z wiktuałami spiżarniowemi. Najulubieńszem jego stanowiskiem, był sklep pana Blutwursta pod Żelazną-Bramą. Któż nie pamięta z Warszawian tego wspaniałego dobroczyńcy, wszystkich smakoszy i gastronomów. I najobojętniejszy na żołądkowe saturnalje, łyknąłby ślinkę, przechodząc koło sklepu pana Blutwursta. Czego tam nie było? I ananasy złociste, wydające ową woń cudowną, pękate melony i różowe z czarnemi pestkami arbuzy. Pęki szparagów grubych jak pałki, a na deser owoce, winogrona i t. d. Front sklepu, jak trofeami przystrojony był w bite indyki, a nawet sarna, istna defraudacja od zakazu polowania, czerwieniła się swym rozprutym łonem.

W głębi, w półświetle tajemniczem, ukazywał się sklep masarza z jego rozkoszami dla smaku podniebienia. Prawdziwa litość brała, widząc p. Symplicjusza w paletocie wiszącym na nim jak na tyce, w kapeluszu zaciśniętym na śpiczastéj głowie, z rękoma założonemi po Napoleońsku, przyglądającego się sklepowi Blutwursta, którego cała postać oddychała błogiem szczęściem i spokojem, po niczem niezakłuconem trawieniu, obie te postacie, były uderzającem przeciwieństwem. Twarz Symplicjusza, gdy się łakomo przyglądał straganowi, wydłużała się niezmiernie; nozdrze rozdymały, połykając zapach, usta układały się do smakowania... a taki wyraz cierpienia komicznego rozlewał się na całéj fizjognomji, iż p. Symplicjusz był istotnie nowożytnym Tantalem smakoszostwa. Cierpiał doprawdy czyscowe męki, a mimo to przychodził codzień przed sklep p. Blutwursta i oglądał jego zapasy. Lecz nie mniéj godnym pożałowania był Fidel. Nie szanując zasad konserwatyzmu, przekraczał granice progu sklepowego i gdy p. Symplicjusz, ten piękny zakład z frontu, Fidel brał go w obserwacyję z tyłu. Upatrzywszy zaś chwilę, gdy p. Blutwurst zadowolone swe oblicze zwrócił ku p. Symplicjuszowi, Fidel porwał najbliższą kiszkę lub kiełbasę, i kilkoma skokami, niknął ze swoją zdobyczą. Pan Blutwurst spostrzegł czasami defraudację, starał się zaradzić wyciągnięciem lewéj nogi ku psiemu ogonowi... ale Fidel zręczny, a tłusty właściciel próżno bronił się przed jego zmyślnością. Długo zakryty był dla umysłu p. Blutwursta, związek między Fidelem a p. Symplicjuszem, ale nareszcie odkrył go jednego razu, z niemałą zgrozą i oburzeniem swego tłustego serca. To też ile razy p. Symplicjusz zbliżył się do jego sklepu, zasępiała się twarz szanownego przekupnia, a widok Fidela sprawiał mu istnie Tantalowe męki. I ci dwaj ludzie, odgrodzeni straganem, pełnym obfitości darów Bożych, czuli się zaprawdę najnieszczęśliwszymi na świecie... do tego stopnia, iż p. Blutwurst schudł a p. Symplicjusz, po odprawieniu codziennéj męki, szedł mocno zirytowany na spoczynek, aby znów obudzić się do zniesienia owych mąk wczorajszych.

Czarna pianka.

Chcąc nadać piance morskiéj, zupełnie czarną barwę, zanurza się ją na jakiś czas w skoncentrowanym roczynie cukru, poczem wystawia się ją na wolne powietrze, aż do czasu obeschnięcia. Po wyschnięciu zaś, zaraz wkłada się piankę do tygielków zamkniętych, a napełnionych magnezją i takowe się rozgrzewa. Skutkiem takiego postępowania, massa piankowa staje się zupełnie czarną i już nigdy barwy nie zmienia, w takim stanie jest pożyteczną do wyrobu wszelkich przedmiotów z niéj otrzymywanych.

OLBRZYMI PAJĄK.

W Lizbonie, stolicy Portugalji, jest starożytny kościół Panny Marji Betleemskiéj. Niezbyt dawno, podczas niedzielnego nabożeństwa w tymże kościele, zgromadzeni modlący się, ujrzeli spuszczającego się z sufitu pająka wielkiego jak półmisek. Podniósłszy oczy, spostrzegli ogromną pajęczynę niby chmurę

zawieszoną u sklepienia. Strach ogarnął publiczność, tłumnie cisnęła się do drzwi, uchodząc przed nieznanym potworem. On tymczasem spuścił się na głowę, a raczéj na kapelusz pewnéj kobiety, a zestraszony rozpacznym téjże krzykiem, sunął na ziemię i na długich swych nogach, uciekał dążąc ku wielkiemu ołtarzowi. Krzyk wzmógł się jeszcze więcéj, ludzie dusili się we drzwiach—aż wreszcie jakiś odważniejszy młodzian, zastąpił drogę pająkowi, schwycił go, zdusił i uspokoił dopiero przelęknionych. Pająk ten rozciągnięty, miał długości trzy łokcie i dwa cale, a waga jego wynosiła funtów 7 i łutów 12. Odważny młodzieniec zachował owego pająka, raz jako rzadki nader okaz, a powtóre, jako dowód troskliwości administracji kościelnéj, która od wielu wieków nie oczyszczając kościoła, przyczyniła się do wyhodowania owego owadowego zjawiska.

ROZMAITOŚCI.

— Wszyscy nam mówią i piszą, że Warszawa wzrosła, że Warszawa upiększa się, że Warszawa ze swemi gazami, wodociągami, granitowemi brukami i omnibusami, coraz bardziéj porządniejszem miastem Europy się staje. Prawda, ale cóż z tego? kiedy w téj saméj Warszawie, znaczna część mieszkańców gnije w wilgotnych dziuplach, brudzie—wśród kałusmrodliwego, a truje się zjadliwemi wyziewami nieczystości miejskich. Spojrzyjmy tylko na ciasne i duszne uliczki Starego-Miasta lub na nizkie i brudne okolice Nadwiśla. Że dzielnica Staro-Miejska, dla swych murowanych kamienic, niełatwą jest do przewietrzenia, to się jeszcze choć pozornie tłomaczyć pozwala, ale czemu Nadwiślańskie okolice, wśród placów ciągnące się, świeżem i czystem powietrzem Wisły zasilane—są jednak zawsze zapowietrzonemi ulicami, tego doprawdy zrozumiećby nie można, gdyby nam własne oczy nie podawały przyczyn. Jak wiadomo, całe Krakowskie-Przedmieście, Nowy-Świat i Aleje ciągną się na wzgórzu; u stóp leżą skromne ulice, jak: Tamka, Solec, Czerniakowska i inne. Wszystkie więc nieczystości z góry miasta, spływają na te nizkie ulice. Nic to, gdyby te nieczystości spływały w kanałach, ale gdzie tam—w górze są kanały, ale doszedłszy do połowy spadzistości wzgórza, otwierają się i nieczystości spływają sobie swobodnie przez place i ulice tamtejsze, ku brzegom Wisły. Mówimy ku brzegom, albowiem brzegiem Wisły, ciągnie się bulwark z ziemi wysypany, a w tym bulwarku czyli wale, nie ma ani jednego otworu, którymby ścieki warszawskie do Wisły spłynęły. Cóż się więc dzieje? wszystkie ścieki zatrzymane przez wał, zostają na placach i ulicach i powoli wsiąkają w ziemię, a pod wpływem promieni słonecznych, ulegają fermentacji i rozkładowi, napełniają wszystkie ulice i uliczki Powiśla nieznośnym smrodem i duszącem powietrzem. A biedny ludek tamtejszy, wycieńczony całodzienną pracą, żyjący lichą strawą, a napełniony zjadliwemi wyziewami—mrze sobie codziennie w ciszy i spokoju, śpieszy na Powązki, boć tam doprawdy i weseléj i czyściéj i świeższe powietrze, aniżeli w mieście. Nie będziemy się tu rozwodzić nad środkami, zabójczość wyziewów usunąć mogącemi; powiemy tylko, że należałoby przedewszystkiem w wale bulwarkowym porobić stosowne otwory, dla spływania nieczystości, a wszystkie kanały idące z górnéj Warszawy, porobić zakrytemi czyli zamurowanemi, tak, aby ścieki nie spływały sobie w dowolnych strumieniach i nie rozlewały się po placach, ulicach i sadach nadwiślańskich. Zastanowić się nad tem wypada: Idzie tu o zdrowie i życie mieszkańców miasta, o zdrowie i życie téj licznéj roboczéj klassy, która w pocie czoła pracując na suchy kawałek chleba, najwięcéj się może przyczynia do wzrostu miasta całego.

— Na poparcie wypowiedzianego przez nas niedawno zdania, o konieczności założenia przy szpitalach sali dla rekonwalescentów, opowiemy wam smutny wypadek, jaki w tych dniach zdarzył się w Warszawie. Pewien wyrobnik, człowiek trzeźwy, przez lat 19 był wyrobnikiem w jednéj ze znaczniejszych fabryk. Dopóki mu starczyły siły, zarabiał wraz z żoną na utrzymanie siebie i rodziny. Od ciągłéj pracy zapadł na zdrowiu. Po długim pobycie w szpitalu, został ztamtąd wypisany, ale, że nie odzyskał sił zupełnie, po wzięciu się do pracy znowu zachorował. Kiedy powtórnie był wypuszczony, a nie czuł się na siłach, taka go ogarnęła rozpacz, że przyszedłszy do komórki... powiesił się, pozostawiając żonę i czworo dzieci w okropnéj nędzy. Westchnąwszy nad jego zgonem i losem rodziny, oraz pozostawiając Bogu ocenienie jego winy, powiedzmy tu sobie dla naszéj nauki, że nie powinien był tracić ufności w Opatrzność Najwyższego, która nie pozwala nam do ostatku upadać na duchu, i że nie przyszedłby do tak rozpaczliwego stanu, gdyby za czasu zdrowia oszczędzał małe od zarobku kwotki na przyszłość, składał w Kassie Oszczędności, albo nawet, jak teraz można, w Kassie Groszowéj; a przez lat 19 uzbierałaby się sumka, któraby może wystarczyła, do zupełnego podźwignięcia nadwątlonego zdrowia. Niechże ten przykład stanie się dla was zachętą, do prowadzenia oględniejszego życia i zwracania uwagi na siebie.



Pan Symplicjusz był istotnie nowożytnym Tantalem...—(str. 175, szp. 2).
(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Sznage).

— Z dołączonego do poprzedniego Numeru Opiekuna Domowego prospektu, czytelnicy nasi dowiedzieli się: że od dnia 1-go lipca roku bieżącego wychodzić ma w Warszawie nowe pismo codzienne pod tytułem: „*Kurjer Codzienny.*" Redakcję objął znany naszéj publiczności, pan Karol *Kucz*, długo redagujący Kurjera Warszawskiego. Przyszły Kurjer Codzienny, nie różniąc się wcale formą od obecnego Kurjera Warszawskiego, różnić się o wiele będzie treścią i duchem od tego ostatniego. Z radością witamy nowo-zapowiedziane pismo, sądząc, iż ono obdarzyć nas zechce: podniosłością myśli, szlachetnością dążeń i uszanowaniem godności naszego piśmiennictwa dziennikarskiego.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 19 (31) Maja 1865 r.